

# Edytorstwo jako gatunek literacki

Chciałbym wam opowiedzieć o czymś, co na ogół uznaje się za oczywiste, a co jednak wcale takie nie jest – o sztuce wydawania książek. Ale najpierw chcę zatrzymać się na chwilę na samym pojęciu edytorstwa, ponieważ odnoszę wrażenie, że wiąże się z nim wiele nieporozumień. Kiedy pytamy kogoś, czym jest oficyna wydawnicza, to najczęściej, a zarazem najrozsądniejsza odpowiedź brzmi: jest to drugorzędna gałąź przemysłu, w której próbuje się zarobić pieniądze, wydając książki. Czym natomiast powinno być **dobre** wydawnictwo? Dobre wydawnictwo to takie – niech mi będzie wolno posłużyć się tautologią – które z założenia i w miarę swoich możliwości wydaje **tylko** dobre książki. A zatem, by uciec się do pospiesznej definicji, tylko te książki, z których wydawca raczej jest dumny, niż te których miałby się wstydzić. W takim razie trudno oczekiwać, żeby wydawnictwo kierujące się tą zasadą mogło się okazać prawdziwie zyskowne. Wydawanie dobrych książek nigdy nikogo zanadto nie wzbogaciło. A przynajmniej nie

w takim stopniu, jak produkcja wody mineralnej, komputerów czy plastikowych torebek. Wygląda na to, że przedsięwzięcie wydawnicze może przynieść znaczne dochody jedynie pod warunkiem, że dobre książki będą pogrążone w innych, o zdecydowanie odmienniejszej jakości. A kiedy coś już jest pogrążone, może z łatwością zatonać – i w ten sposób na dobre przepaść.

Warto także przypomnieć, że wydawanie książek wielokrotnie okazywało się szybką i niezawodną drogą do roztrwonienia sporego majątku. Można wręcz dodać, że założenie wydawnictwa przez młodzieńca dobrego pochodzenia było zawsze, na równi z ruletką i kokotami, jednym z najpewniejszych sposobów na wyzbycie się swoich dóbr. Skoro tak jest, to trzeba zapytać, jak to możliwe, że rola wydawcy przez całe stulecia pociągała tak wiele osób – i że w dalszym ciągu, nawet dzisiaj, uznaje się ją za pociągającą, a także z wielu względów tajemniczą. Nietrudno na przykład zauważyć, że pewni magnaci gospodarczy bardzo pragną uchodzić za edytorów i często im się to udaje za dosłownie wysoką cenę. Gdyby mogli głosić, że nie produkują mrożonek warzywnych, tylko je publikują, prawdopodobnie szczerze by ich to uszczęśliwiało. Można więc dojść do wniosku, że edytorstwo to nie tylko działalność handlowa, ale że zawsze było też domeną prestiżu, chociażby dlatego, że to taki rodzaj działalności, który jednocześnie jest sztuką, i to we wszystkich tego słowa znaczeniach – a już na pewno sztuką niebezpieczną, bo do jej uprawiania niezbędne są pieniądze. Z takiej perspektywy można śmiało uznać, że niewiele się zmieniło od czasów Gutenberga.

A jednak, kiedy przyjrzymy się pięćsetletnim dziejom edytorstwa, zakładając przy tym, że wydawanie książek jest sztuką, od razu możemy dostrzec wszelkiego rodzaju paradoksy.

Pierwszy kryje się w pytaniu: na podstawie jakich kryteriów można ocenić wielkość wydawcy? Na ten temat, jak zwykł mawiać pewien mój hiszpański przyjaciel, nie ma bibliografii. Można przeczytać wiele mądrych i drobiazgowych rozpraw, które omawiają działalność różnych wydawców, ale rzadko natrafia się w nich na sądy o ich wielkości, jakie zazwyczaj można znaleźć w rozważaniach o pisarzach lub malarzach. Co zatem stanowi o wielkości wydawcy? Spróbuję odpowiedzieć na to pytanie, przytaczając kilka przykładów. Pierwszy i chyba najbardziej wymowny przenosi nas do początków działalności wydawniczej. Z drukowaniem książek zdarzyło się to samo, co później miało się powtórzyć przy narodzinach fotografii. Wszystko bowiem wskazuje na to, że zostaliśmy wtajemniczeni w te wynalazki przez mistrzów, którzy wprowadzając je w życie, od razu osiągnęli niezrównaną świetność. Jeśli chce się zrozumieć istotę fotografii, wystarczy przyjrzeć się twórczości Nadara. Jeśli chce się zrozumieć, czym może być wielka oficyna wydawnicza, wystarczy spojrzeć na książki drukowane przez Aldusa Manucjusza. To on był Nadarem sztuki wydawniczej. On pierwszy ujął oficynę wydawniczą w kategorii formy. A słowo „forma” trzeba tu rozumieć na wiele odmiennych sposobów. Przede wszystkim forma rozstrzyga o wyborze i kolejności tytułów przeznaczonych do wydania. Ale forma dotyczy także tekstów dołączanych do książek, jak również wyglądu, jaki ma mieć książka jako przedmiot. Dlatego obejmuje także okładkę, szatę graficzną, układ tekstu, czcionkę i papier. Aldus miał w zwyczaju osobiście pisywać w postaci listów lub *epistulae* krótkie teksty wstępne, które stały się pierwowzorem nie tylko wszelkich nowoczesnych wstępów i posłowi, ale także skrzydełek, rekomendacji dla księgarzy i dzisiejszych reklam. Po raz pierwszy okazało się, że wszystkie książki

publikowane przez jakiegoś wydawcę można postrzegać jako ogniwa jednego łańcucha lub jako segmenty jednej serii książek, bądź też jako fragmenty wielkiej księgi utworzonej ze wszystkich książek wydawanych przez daną oficynę. Jest to oczywiście najśmielszy i najambitniejszy cel wydawców, i takim pozostaje od pięciuset lat. A jeżeli komuś wydaje się, że jest nieosiągalny, wystarczy przypomnieć, że również literatura, kiedy nie porywa się na niemożliwe, traci swoją magię. Sądzę, że coś w tym duchu można by powiedzieć także o edytorstwie – a przynajmniej o tym szczególnym sposobie prowadzenia działalności wydawniczej, którego na pewno nie praktykowano zbyt często, ale jeśli już do tego doszło, to rezultaty były niezapomniane. Chcąc ułatwić wyobrażenie sobie rezultatów takiego podejścia do edytorstwa, wspomnę tu o dwu książkach wydanych przez Aldusa Manucjusza. Pierwsza z nich, opublikowana w 1499 roku, nosiła zagadkowy tytuł *Hypnerotomachia Poliphili*, co znaczy „Miłosne zmagania we śnie”. Czym była? Czymś, co dzisiaj określono by mianem „wczesnej powieści”. Napisał ją autor nikomu nieznanym (i do dzisiaj otoczony nimbem tajemnicy), posługując się zmyśloną mową – to swego rodzaju *Finnegansów tren* stworzony na kanwie włoskiego, łaciny i greki (na drzeworytach pojawiały się także hebrajski i arabski). Trzeba przyznać, że był to zabieg dość śmiały. Ale jak ta książka wyglądała? Była tomem *in folio*, ilustrowanym znakomitymi sztychami, doskonale dopełniającymi tekst, co świadczy o jeszcze większej śmiałości wydawcy. W tym miejscu należy jeszcze coś dodać: zdaniem zdecydowanej większości miłośników książek jest to n a j p i ę k n i e j s z a k s i ą ż k a, jaką kiedykolwiek wydano. Może to stwierdzić każdy z was, jeżeli kiedyś wpadnie mu w ręce tom tej edycji czy nawet jego reprint. Ta książka była oczywiście przejawem geniuszu,

jedynym i niepowtarzalnym. A do jej powstania w istotny sposób przyczynił się wydawca. Ale nie powinniście myśleć, że wielkość Manucjusza polegała tylko na przygotowywaniu skarbów dla bibliofilów następnych stuleci. Drugi przykład poświadcza, że obierał on także drogę całkowicie odmienną – trzy lata po wydaniu *Hypnerotomachii*, w 1502 roku, Manucjusz wydał Sofoklesa w formacie, który nazwał *parva forma* – „formą małą”. Kto dzisiaj będzie miał szczęście, by z tą książką się zetknąć, od razu stwierdzi, że jest to pierwsza w historii książka kieszonkowa, pierwszy *paperback*. Mówiąc dosłownie: pierwsza książka, którą można było nosić w kieszeni. Obmyślając taki format, Manucjusz odmienił nawyki towarzyszące lekturze. W ten sposób radykalnej odmianie uległ także sam akt lektury. Ponadto przyglądając się frontyspisiowi, można podziwiać elegancję greckiej kursywy, która została tutaj użyta po raz pierwszy, a następnie stała się istotnym wzorcem. Tak oto Manucjusz zdołał osiągnąć dwa odmienne rezultaty: po pierwsze zaproponował taką książkę jak *Hypnerotomachia Poliphili*, której żadna nie potrafiła już dorównać i która jest właściwie archetypem książki jedynej, a po drugie stworzył książkę całkowicie inną, jaką było wydanie Sofoklesa, które potem powielano niezliczoną ilość razy i powiela się do dziś.

Nie będę dłużej mówił o Aldusie Mancjuszu, bo odnoszę wrażenie, że w waszych głowach rodzi się już pytanie, które można by sformułować następująco: „Świetnie, wszystko to jest zajmujące i ukazuje chwalebny stronę włoskiego renesansu, ale co to ma wspólnego z nami i z dzisiejszymi wydawcami, pogrążającymi się w coraz większym zalewie tabletek, e-booków i DVD – nie mówiąc już o innych kazirodczych związkach między tymi nowymi wynalazkami?”. Jeżeli zdobędziecie się na trochę cierpliwości, żeby